

Potrzebujemy korekty polskiej polityki historycznej

6 października 2021

„[...] na to zwracają uwagę też politycy izraelscy, że młodzież uczy się o Polsce i to Polskę kojarzy ze zbrodniami II wojny światowej, zbrodniami holokaustu. Nie kojarzy tych zbrodni z Niemcami. Niemcy dziś przedstawiane są jako kraj przyjazny i nowoczesny. Tam jest narracja zupełnie inna. To jest coś, co należałoby zmodyfikować. Jeśli młodzi ludzie przyjeżdżają do Polski i kojarzą ją tylko ze złem, które tutaj miało miejsce ze strony Niemców, a nie mają okazji na przykład spotkania się z polską młodzieżą, nie poznają Polski dzisiejszej, nie poznają także historii zbrodni Niemców na Polakach, to jest coś, co później może prowadzić do utwierdzania się negatywnych opinii o Polsce. Trzeba z tym walczyć” – powiedział niedawno, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Sierpniowa diagnoza wiceszefa MSZ Pawła Jabłońskiego jest jedną z wielu trafnych w ostatnich latach, jakie obecny rząd stawia w obszarze polityki historycznej. Co z tego jednak, skoro trafne oceny i intuicje nie przekładają się na wymierne efekty.

Trudno za obecny stan rzeczy winić wyłącznie stronę rządową. Można nawet zaryzykować tezę, że polityka historyczna obecnego polskiego rządu jest m.in. dlatego nieskuteczna, gdyż nie ma realnej konkurencji na opozycji, przez co grzęźnie w samozadowoleniu i braku nowych inspiracji. To o tyle dziwne, że prezydent Bronisław Komorowski zdawał się doceniać omawianą problematykę, czego dowodem było podtrzymanie linii politycznej w kwestii „żołnierzy wyklętych” autorstwa poprzednika – Lecha Kaczyńskiego. Wychodził też z własnymi udanymi inicjatywami. W 2013 r. Kancelaria Prezydenta RP organizowała obchody 150. rocznicy powstania styczniowego, w trakcie których odbyła się m.in. konferencja i ciekawa wystawa

na Krakowskim Przedmieściu, zaś sam prezydent był wielce zaskoczony faktem – czemu dał wyraz w swoim wystąpieniu – że w obchodach uczestniczą niemal wyłącznie samorządowcy i animatorzy kultury z prowincji.

O tym, że po 1989 r. polskie elity i społeczeństwo wielokrotnie wykazywały się naiwnością w podejściu do Zachodu w aspekcie instrumentalizacji przeszłości daje niejednokrotnie wyraz w swoich publikacjach Rafał Chwedoruk. Polityka historyczna Niemiec, zmierzająca całkiem skutecznie do relatywizacji ich roli w zbrodniach II wojny światowej, zdaje się nie robić większego wrażenia na dużej części opiniotwórczych środowisk liberalnych. Zdaniem Chwedoruka można wysnuć wniosek, że środowiska liberalne są zapętlone – z jednej strony mamy zatem ahistoryczny kult pamięci, „cancel culture”, postkolonializm, za którymi idzie łatwość adaptacji pozbawionych naukowych podstaw oskarżeń ze strony USA i Izraela pod naszym adresem, na drugim biegunie klasycznie liberalna wizja modernizacyjno-okcydentalistyczna, której przejawem jest kult Lecha Wałęsy jako symbolu ziszczenia wielowiekowej drogi (takie wątki silnie zaznaczały się w podręcznikach szkolnych).

Oczywiście do niskiej skuteczności polskiej polityki historycznej przyczyniają się także czynniki zupełnie niezależne od nas. Po wojnie ubrano nas w gorset państwa narodowo-katolickiego, jakim w zasadzie nigdy w przeszłości nie byliśmy, przy czym miękka narracja przedstawicieli (intelektualistów, polityków) krajów zachodnich zaczęła nam zarzucać, że na świat spoglądamy głównie przez podszyty ksenofobią paradygmat narodowy. Jednocześnie z upływem lat z Zachodu płynął (i płynie nadal) coraz ostrzejszy głos, którym podważano i nadal podważa się nasze prawa do Żydów – nawet tych, którzy zawsze bezwzględnie poczuwali się do związków z Polską (jak np. wywieszający biało-czerwoną flagę powstańcy w getcie) – jako do Polaków w sensie obywatelskim. Myśmy nie wiadomo czemu na to przystali i nie honorujemy w należyty

sposób pamięci o tych osobach. Kultuwujemy pamięć o ofiarach wojennych, ale ograniczamy się głównie do rzymskich katolików, których prawdziwe i symboliczne mogiły widnieją niemal na każdym cmentarzu o starszym niż 1945 r. rodowodzie, podczas gdy generalnie nie czcimy należycie pamięci o dawnych żydowskich sąsiadach, w wielu miasteczkach stanowiących przed wojną przecież 30-50% ludności. Pewne załączki zmian w tym zakresie daje się od niedawna zauważyć w działaniach prezydenta Andrzeja Dudy i niektórych samorządowców, ale głos ten jest zbyt słabo słyszalny. Gdyby zrobić sondaż na temat tego, jaki odsetek uniwersyteckich absolwentów historii XXI wieku zna choć jednego przedstawiciela chasydyzmu polskiego, to można żywić obawy, że wyniki testu byłyby przygnębiające. Zresztą podobnie byłoby z reprezentantami i historią innych niż żydowska grup etnicznych. Nie postrzegamy ich uczciwie jako współtwórców naszej spuścizny politycznej i kulturowej.

W PRL problem ten był bagatelizowany nawet przez opozycję, nie tylko ze względu na istniejącą cenzurę, ale też dlatego, że najważniejsza była walka ze wschodnim „wielkim bratem”. Za tym szło z kolei traktowanie Kościoła rzymskokatolickiego jako głównej społecznej siły opozycyjnej – i to nie tylko przez antypeerełowską opozycję narodową i konserwatywną, ale nawet przez lewicową i liberalną, czego jaskrawym przykładem były teksty Adama Michnika. To z kolei pociągało za sobą mało mającą wspólnego z faktami narrację, jakoby na przestrzeni całego milenium interesy Kościoła rzymskiego były zawsze spójne z naszą racją stanu. Sami uwierzyliśmy w to, że zawsze byliśmy „zbrojnym ramieniem Rzymu”.

Rzecz jasna nie tylko splot niefortunnnych okoliczności zewnętrznych przyczynia się do tego, że wszyscy po trosze staliśmy się narodowymi katolikami, wierzącymi i niewierzącymi. Szło za tym przypinanie w publikacjach resztkom naszych różnowierców łatek ekspozytur zachodnich lub wschodnich okupantów albo amerykańskich imperialistów (do wyboru, do koloru). Nasze „wewnętrzne” winy są bezdyskusyjne:

przed wojną numerus clausus i numerus nullus na uniwersytetach oraz planowe i systemowe burzenie świątyń prawosławnych, potem wojenne i powojenne przypadki mordów na Żydach, wreszcie obrzydliwe antysemickie hucpy Moczara i Gomułki. Tym niemniej do znudzenia należy podkreślać, że to nie myśmy byli pionierami szowinizmu, nie nasi „myśliciele” byli autorami pseudonaukowych teorii rasistowskich, nie byliśmy też inicjatorami i inspiratorami Zagłady narodu żydowskiego i nie nasi naukowcy wpadli na pomysł wyrabiania mydła z ludzi. Pojawiające się nadal na Zachodzie sformułowania o „polskich obozach zagłady”, w naszych zaś opiniotwórczych kręgach lewicowo-liberalnych pozbawione refleksji próby zrównywania antysemityzmu otoczenia kardynała Wyszyńskiego i jego samego z „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, a naszych pograniczników z SS, to niewątpliwe dowody na to, że niemiecka polityka historyczna odnosi sukcesy, a nasza wykazuje się nieskutecznością. Naoczni świadkowie Zagłady, niezależnie od poglądów politycznych, widzieli zbrodniarzy wojennych w Niemczech, natomiast współcześni reprezentanci środowisk liberalnych – częstokroć w niekoniecznie identyfikowanych narodowo nazistach.

Coraz więcej osób wypiera z pamięci słowa Marka Edelmana: „Wina zbiorowa to bardzo trudna rzecz. Ale bez wątpienia Żydów nie mordowało 30 milionów Polaków, ale jakaś wąska grupa. I jak się źle czujesz być w tej grupie to znaczy, że jesteś przyzwoitym człowiekiem, ale jak cię to nie obchodzi, albo tego nie zauważasz, albo – co gorsza – próbujesz to tłumaczyć, a nawet usprawiedliwiać, to jesteś nieprzyzwoitym. Bo jak usprawiedliwiać morderstwo? Jest jednak wielka różnica między odpowiedzialnością Polaków i Niemców. W Niemczech to było szalenie masowe. W Polsce chodzi głównie o nastrój, który był przeciw Żydom”. Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że przekaz inny niż Edelmana – naocznego świadka Zagłady – polegający na relatywizowaniu win Niemców i uwypuklaniu polskich, jest z pewnością korzystny dla naszych zachodnich sąsiadów, ale i tych wszystkich aliantów, których symbolicznym wyrzutem sumienia powinien być rzadko wspominany Szmul

Zygielbojm. Oczywiście możemy naiwnie głosić: „Porzućmy logikę narodowych krzywd. Chcemy innej historii, bardziej europejskiej” – jak pisał jeden z lewicowych publicystów w rocznicę tragedii wołyńskiej. O infantylizmie takiego myślenia łatwo mógł się jednak przekonać polski turysta, który w tym roku zwiedził choćby mauzoleum i muzeum w Verdun, gdzie wymowy obu wystaw mają ewidentny odcień nacjonalistyczny, niespecjalnie odbiegający od np. rosyjskiego myślenia o „wielkiej wojnie ojczyźnianej” (nie mówiąc już o tym, że zwiedzający nie dowie się zbyt wiele o innych niż francusko-niemiecki frontach I wojny światowej).

Nie znaczy to oczywiście, abyśmy mieli podążać drogą francuskiego nacjonalizmu lub rosyjskiego imperializmu. Historia Polski, a wcześniej Rzeczypospolitej Wielu Narodów, powinna jednak inspirować elity opiniotwórcze o rozmaitej proveniencji ideowej do poszukiwania własnej drogi i nowych pomysłów, być może modyfikacji narracji w niektórych kwestiach, skoro dotychczasowa polityka nie przynosi oczekiwanych efektów. Być może dobrym rozwiązaniem byłoby wykorzystywanie w wielu miejscach możliwie najbardziej nowoczesnych form przekazu. Nie oponując przeciwko idei odbudowy Pałacu Saskiego, wydaje się, że klasyczna rekonstrukcja gmachu, średnio oryginalnego pod względem architektonicznym, po kilku latach może nie wzbudzać już zainteresowania i pozytywnych emocji; być może np. montaż niezbędnej konstrukcji i stworzenie na trwałe hologramu, widocznego wyłącznie po zmierzchu pałacu-ducha, w wymiarze symbolicznym miałoby szerszy i trwalszy pozytywny zasięg oddziaływania.

Generalnie jednak zachowując dotychczasowe instrumentarium związane z przeciwdziałaniem rozmywaniu odpowiedzialności Niemców za Holocaust czy z kultywowaniem pamięci o polskich ofiarach II wojny światowej, korzystając również nadal z przemyśleń środowiska Marka Cichockiego i Dariusza Gawina, w dużo większym stopniu należy starać się uwypuklić pozytywny

wizerunek Polski, koncentrując się w przekazie na przykładach z naszych dziejów. Wymaga to jednak oczywistych zmian wektorów w narracji i w symbolice. Wbrew potocznemu myśleniu, nasz niewykorzystany potencjał jest niemały.

Być może warto byłoby zatem rozważyć np. wprowadzenie oficjalnego święta państwowego w dniu 28 stycznia – data ogłoszenia aktu konfederacji warszawskiej 1573 – który byłby dniem wolnym od pracy dla niedużej liczbowo grupy naszych różnowierców i jednocześnie hołdem dla wszystkich mniejszości narodowych, etnicznych i wyznaniowych zamieszkujących tak dziś, jak i niegdyś nasze państwo. Skoro Francuzi odwołują się dziś do tradycji roku 1789, zaś Grecy i Macedończycy toczą spory o tradycję starożytną – szczylenie się osiągnięciami o dwa wieki wcześniejszymi od Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie jest żadnym powodem do ujmy. Obchody takiego święta można i należałoby „wypchnąć” poza Warszawę – do katedry prawosławnej w Białymstoku, grekokatolickiej w Przemyśle i ewangelicko-augsburskiej w Katowicach, którejs z synagog w Krakowie, katedry mariawitów w Płocku czy zabytkowego meczetu w Kruszyńianach. Pomimo pewnej inflacji muzeów warto byłoby też przemyśleć, czy nie powołać takowej instytucji poświęconej w całości mniejszościom narodowym, etnicznym i wyznaniowym zamieszkujących przez stulecia ziemię Rzeczypospolitej, ale przy okazji także i grupom dyskryminowanym – np. chłopom pańszczyźnianym, kobietom, homoseksualistom, osobom chorym i niepełnosprawnym – a także walczącym o ich emancypację. Kwestia umiejscowienia takiej potencjalnej instytucji poddana powinna być głębszej analizie, ale na pierwszy rzut oka wydaje się, że fakty, na które nacisk kładzie wspomniany minister Jabłoński, przemawiają za Krakowem. Poza walorem edukacyjnym dla mieszkańców Polski, zwłaszcza dzieci i młodzieży, zagraniczni turyści zwiedzający bardzo często oprócz Krakowa jedynie Oświęcim – pomijający zaś Warszawę i Muzeum Polin – powinni wynieść z naszego kraju inne trwałe wrażenie niż tylko to, które pozostawia w ich umysłach Auschwitz. Tym bardziej że przeciętnemu zagranicznemu turyście, który wcześniej lub

później odwiedzi choćby tylko Drezno, Wilno, Pragę czy Lwów, zabytki Krakowa rozmyją się wśród wymienionych – tego nie da się zmienić.

Gruntownej rewizji domaga się program nauczania historii w szkole podstawowej i średniej. Odwołania do pozytywnych przykładów polskiej tolerancji, myśli egalitarnej i przykładów emancypacyjnych powinny być trwałą, widoczną i podstawową częścią edukacji młodego pokolenia w dziedzinie historii; podobnie jak szersze otwarcie się na spuściznę historyczną i kulturową narodów oraz innych niż rzymskokatolicka grup religijnych, z którymi przez wieki żyliśmy w jednym gmachu państwowym.

Na koniec warto uzmysłować sobie, że mała skuteczność naszej polityki historycznej splata się z fiaskiem polityki wschodniej, co dostrzegają już chyba wszyscy, ale przynajmniej jedna przyczyna takiego stanu rzeczy ogromnej większości naszych decydentów zdaje się umykać. Chodzi mianowicie o to jak my, Polacy, postrzegamy mieszkańców Rosji i Białorusi oraz inne ludy byłego ZSRR. Ze znajdującej racjonalne wytłumaczenie „rosjofobii”, będącej pokłosiem rosyjskiego i sowieckiego imperializmu, ku uciesze Kremla stajemy się powoli „rusofobami”, którymi dawniej w swojej masie nie byliśmy. Źródeł tego procesu doszukiwać należy się m.in. w tym, iż od wielu dekad wschodnie, zwłaszcza prawosławne dziedzictwo kulturowe, staje się dla nas i naszych elit coraz bardziej obce i niezrozumiałe. Mało kto zwraca uwagę na fakt, że wyraz „ruski”, powszechnie odmieniany przez wszystkie możliwe przypadki przez dużą część możliwie szeroko rozumianego zaplecza politycznego, ideowego i środowiskowego Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego (czyli de facto niemal przez 2/3 społeczeństwa), ma w naszym języku – w odróżnieniu od rosyjskiego – wymowę jednoznacznie pejoratywną, dziś zdecydowanie bardziej niż kiedyś. Nie oznacza to oczywiście, że powinniśmy przyjąć endecką orientację na Rosję, ale niczemu nie służy trwanie naszych najbardziej opiniotwórczych kręgów

na pierwszej linii antyrosyjskości niczym ks. Ignacy Skorupka. Straszanie „ruskim” jest dziś jednym z nielicznych elementów, który łączy obóz rządzący oraz główny nurt liberalnej i lewicowo-liberalnej opozycji. Poważni eksperci i analitycy od dawna powtarzają, że nasza siła wizerunkowa na Zachodzie jest m.in. pochodną tego, jak postrzegamy Wschód.

Niestety zamiast rzeczowych diagnoz nasze elity wyrażają o wschodnich sąsiadach zbyt często opinie emocjonalne, a czasami histeryczne, które wynikają z historycznych zaszłości. Abstrahując od anachronicznego antykomunizmu, który pozostaje dziś jedynie pustą formułą (marksizm-leninizm nie jest dziś przecież żadnym zagrożeniem dla interesów RP), nie zdołaliśmy tutaj wypracować opartego przecież na faktach przekazu, w którym wyraźnie rozróżnieni byłiby ci, którzy prowadzili wobec Polski i naszych obywateli morderczą politykę (na czele ze Stalinem) od zwykłych żołnierzy, stanowiących mięso armatnie Armii Czerwonej, masowo ginących w walce z Niemcami, nie mówiąc już o tym, że niektórzy z nich zanim siłą zostali krasnoarmiejcami, we wrześniu 1939 r. bili się z orzełkiem na piersi w obronie II RP. I mniejsza o to, że Rosjanie i Białorusini są na punkcie szacunku do milionów własnych żołnierzy ginących na frontach II wojnie światowej bardzo wyczuleni. Ważniejsze jest to, że pokłosiem powyższego jest zniekształcony obraz dziejów, w którym: 1. Polacy nie walczyli masowo po stronie Sowietów (że byli najczęściej wcielani „siłą” do Armii Czerwonej to prawda, ale do Armii Berlinga to już wcale niekoniecznie siłą); 2. W całkiem niemałej mierze nie popierali władzy komunistycznej po wojnie (bo jest oczywistością, że duże grupy Polaków z różnych warstw i różnych powodów popierały tę władzę w różnych okresach).

W przypadku ZSRR sytuacja była zatem zupełnie odmienna niż w odniesieniu do III Rzeszy, choć niewątpliwie jest prawdą, że Niemcy po prostu nie chcieli współpracy ze strony Polaków, a Sowietów – umiarkowanie chcieli, mówiąc w dużym uproszczeniu oczywiście. Ci pierwsi nie chcieli, bo traktowali nas jako

podludzi, oczywiście trochę „lepszyc” podludzi niż Żydów, ale gorszych niż Czesi, o Francuzach nie wspominając. Jednak bez względu na to, jakie były przyczyny tego stanu rzeczy, Rosjanie w odróżnieniu od Niemców nie traktowali nas nigdy jak gorszej rasy ludzkiej, a my nie potrafimy tych faktów wykorzystać w polityce historycznej przede wszystkim ze względu na naszą ideologiczną antyrosyjskość. Mało tego – ten ostatni aspekt (emocjonalna antyrosyjskość, traktowanie „ruskich” jako ludzi o niższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, a nawet traktowanie prawosławia jako ekspozytury Rosji) blokuje nam możliwość odwoływania się do najlepszych tradycji polskiej tolerancji w oparciu o historyczne fakty, bo ona wzięła się przecież w dużej mierze z tego, że, w odróżnieniu od krajów Zachodu, przez kilkaset lat większość naszych władców piastowskich i jagiellońskich traktowała jako własne oba obrządki, tj. zachodni, łaciński i wschodni (co ostatnio doskonale przypomina w swoich publikacjach Antoni Mironowicz).

Szkopuł zatem w tym, że potencjalna korekta naszej polityki historycznej w kierunku pozytywnej promocji „polskiej tolerancji”, związana ze słusznym odwoływaniem się w przypadku naszych dziejów do wartości chrześcijańskich, wymuszałaby dochowania szacunku dla wielu reprezentantów rzymskiego katolicyzmu (w tym oczywiście także duchownych – wszak nawet oryginalną cechą polskiego Oświecenia była niespotykana gdzie indziej dominacja w nim kleru) oraz rozmaitych różnowierców, w tym traktowanych z dystansem prawosławnych „ruskich”, przy jednoczesnej rezygnacji z wielce wątpliwego od strony faktów historycznych dominującego przekazu, że polska racja stanu była na przestrzeni millenium zawsze zgodna z interesami Kościoła rzymskokatolickiego i papieżstwa.

Autorstwo: dr Andrzej Dwojnych

Źródło: NowyObywatel.pl